

REBECCA YARROS

#1 Bestsellerowa autorka NEW YORK TIMESA

OSTATNI LIST



ELLIA

**REBECCA
YARROS**

**OSTATNI
LIST**

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

*Dzieciom, które walczą z rakiem:
Davidowi Hughesowi, który dzięki swojemu sercu
pokonał chorobę, choć dawano mu tylko
dziesięć procent szans na wyzdrowienie.
Oraz dla tych jak Beydn Swink, których dusze okazały się
nieporównywalnie silniejsze niż ich ciała.
Nigdy o Was nie zapomnimy.*

ROZDZIAŁ 1



BECKETT

List #1

*Drogi Chaosie,
a przynajmniej mój brat twierdzi, że właśnie tak Cię nazywają. Zapytałam, czy któryś z jego kompanów potrzebuje wsparcia i dostałam namiar na Ciebie.*

Cześć, mam na imię Ella. Znam zasadę, by w korespondencji nie postugiwać się Waszymi prawdziwymi imionami. Piszę listy tak długo, jak długo on robi to, co robi. Co chyba robisz i Ty.

Zanim odłożysz list, mamrocząc: „Nie, dzięki”, jak to zazwyczaj robicie, musisz wiedzieć, że piszę również dla siebie. Dzięki temu będę miała sposobność wyrażenia opinii z dala od ciekawskich, wścibskich oczu mieszkańców tego małego miasta, więc to prawie tak, jakbym Cię wykorzystywała.

Byłabym zatem ogromnie wdzięczna, gdybyś mógł mnie wystuchać, a w zamian ja wystuchatabym Ciebie. Piekę też niesamowite ciasteczka z masłem orzechowym. Jeśli nie dostateś ich z tym listem, zlej mojego brata, bo Ci je ukradł.

Od czego powinnam zacząć? Jak się przedstawić, by nie zabrzmiało to, jakbym była reklamująca się singielką? Zapewniam, nie szukam nikogo ponad kumpla, z którym mogłabym pisać, a który byłby bardzo daleko ode mnie. Nie przepadam za żołnierzami. Właściwie za żadnymi facetami. Nie, żeby mi się nie podobali, ale po prostu nie mam na nich czasu. A wiesz, co mam? Złość, że piszę to odręcznie, zamiast na komputerze, na którym mogłabym dowolnie kasować słowa.

Jestem młodszą siostrą, ale mój brat na pewno już Ci o tym powiedział. Dużo gada, więc zapewne wiesz już, że mam dwoje dzieci. Tak, jestem samotną matką i nie, nie zatuję swoich decyzji. Retę, dosyć mam tych pytań, czy nawet sugerujących je spojrzeń.

Niemal skreśliłam ostatnie zdanie, jednak to prawda. W dodatku jestem zbyt leniwa, by przepisać cały list.

Mam dwadzieścia cztery lata i byłam żoną dawcy spermy bliźniąt przez jakieś trzy sekundy. Wystarczyło, żeby na teście pojawiły się różowe kreski, a lekarz oznajmił, że słyszy bicie dwóch serc, by mąż spakował się po cichu i uciekł nocą. Nigdy nie przepadał za dziećmi, prawdopodobnie lepiej nam bez niego.

Nie obrażę się, jeśli też pogardzisz szkrabami korespondencyjnej koleżanki, ale w takim wypadku nie będę wysyłać Ci ciastek. Te są jedynie dla przyjaciół.

Jeśli poradzisz sobie z piszącą do Ciebie samotną matką, możesz czytać dalej.

Moje dzieci mają po pięć lat, więc jeśli zdążyłeś policzyć, urodziłam je, gdy byłam dziesiętnastolatką. Zszokowałam wszystkich w naszej miejscinie, decydując się na samodzielne wychowywanie bliźniąt, niemal dostałam zawatu, gdy po śmierci babci musiałam przejąć samotnię. Miałam jedynie

dwadzieścia lat, małeńkie dzieci i pensjonat, w którym nas wychowywata, więc wydawało się, że to dobre miejsce, bym zajęła się w nim maluchami. Nadal takie jest.

Tak więc... Maisie i Colt są całym moim życiem. Oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Zdaję sobie sprawę, że jestem wobec nich niedorzecznie nadopiekuńcza. Zdarza mi się przesadnie reagować, otaczać je murem, przez co mogą wydawać się odizolowane, ale hej, można mieć gorsze wady, prawda? Maisie jest spokojna, zazwyczaj zastaję ją z książką. Colt... cóż, najczęściej jest tam, gdzie nie powinno go być i robi coś, czego nie powinien robić. Bliźnięta potrafią szaleć, ale powiedzą Ci, że tak naprawdę są dwa razy bardziej niesamowite.

A ja? Zawsze robię to, co muszę, a nigdy to, co powinnam lub co chcę. Jednak wydaje mi się, że taka jest właśnie natura bycia matką i właścicielką pensjonatu. A skoro o tym mowa, moi goście już się budzą, więc lepiej zapakuję list do koperty i go wyślę.

Odpiszesz, jeżeli zechcesz. Zrozumiem jednak, jeśli tego nie zrobisz. Chciałabym, byś wiedział, że w Kolorado jest ktoś, kto o Tobie myśli.

Ella

Dziś byłby idealny dzień na moje drugie przekleństwo. Zazwyczaj, kiedy jedziemy na misję, przeżywamy *Dzień Świstaka*. Codziennie to samo. Jednak w tej monotonii łatwo można dostrzec pewien ujmujący wzór.

Nie będę kłamał, jestem wielkim fanem monotonii.

Rutyna jest przewidywalna. Bezpieczna lub tak bezpieczna, jak tylko może być w tych warunkach. Od miesiąca przebywaliśmy w tajnej lokalizacji w kraju, w którym nie powinniśmy się znajdować, a rutyna pozostawała naszą jedyną pociechą.

Dziś jednak jej zabrakło.

Jak zwykle ukończyliśmy misję, ale za to jakim kosztem. Zawsze jakiś jest, jednak ostatnio bywa coraz bardziej wygórowany.

Spojrzałem na swoją rękę i zacisnąłem palce tylko dlatego, że mogłem to zrobić. Ramirez? On stracił dziś tę możliwość. Gość będzie trzymał niemowlaka za pomocą protezy.

Zamachnąłem się, po czym wypuściłem z palców konoga, a psia zabawka poleciała do nieba, stanowiąc czerwoną kropkę na nieskazitelnie błękitnym niebie, które było tu jedyną czystą rzeczą. A może to ja dziś czułem się brudny.

Demolka stawiała długie, szybkie kroki, skupiona na celu, aż...

– Cholera, dobra jest – powiedział Mac, gdy stanął za mną.

– Najlepsza. – Zerknąłem na niego przez ramię, nim wróciłem wzrokiem do Demolki, która do mnie podbiegła. Musiała być najlepsza, by dostać się do specjalnego zespołu operacyjnego, który działał, choć – ściśle rzecz biorąc – nie istniał. To wyszkolony, wojskowy pies przewyższający milion razy zwykle, operacyjne burki.

Należała do mnie, co automatycznie czyniło ją najlepszą.

Moja suczka to ponad trzydziestokilowa labradorka. Jej czarna sierść wyróżniała się na tle piasku, gdy zatrzymała

się tuż przed moimi nogami. Usiadła, z radością w oczach podając mi kongę.

– Ostatni raz – powiedziałem łagodnie, wyjmując zabawkę z jej zębów.

Puściła się pędem, nim zdołałem wziąć zamach.

– Jakies wieści o Ramirezie? – zapytałem, patrząc na odbiegającą Demolkę.

– Stracił rękę. Od łokcia.

– Ku... – Rzuciłem zabawkę tak daleko, jak tylko mogłem.

– Możesz kląć. Dziś wydaje się to odpowiednie. Mac podrapał się po hodowanej przez miesiąc brodzie i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

– Co z rodziną?

– Christine dołączy do niego w bazie Landstuhl. Wyśylają nam też rekrutów. Czterdzieści osiem godzin do odlotu.

– Tak szybko? – Naprawdę byliśmy aż tak niezbędni.

– Musimy ruszać. Odprawa za pięć minut.

– Jasne. – Wyglądało na to, że zostaniemy przeniesieni do kolejnej, tajnej lokalizacji.

Mac spojrział na moją rękę.

– Ktoś to widział?

– Doktorok pozszywał. To tylko draśnięcie, nie musisz trząść portkami. – Kolejna blizna dodana do tych, które już znaczyły moją skórę.

– Może potrzeba, żeby jakaś potrząsnęła twoimi.

Posłałem przyjacielowi wymowne spojrzenie.

– No co? – zapytał, wzruszając ramionami, nim ruchem głowy wskazał na Demolkę, która zatrzymała się równie

podeksytowana, co za pierwszym lub trzydziestym szóstym razem, gdy rzuciłem konga. – Ona nie może być jedyną kobietą w twoim życiu, Gentry.

– Jest lojalna, piękna, potrafi odnaleźć materiały wybuchowe i załatwić kogoś, kto spróbuje mnie zabić. Czego jej brakuje? – Wziąłem zabawkę i podrapałem psinę za uszami.

– Muszę stwierdzić, że tobie już nie da się pomóc.

Wróciliśmy do niewielkiej bazy, na którą tak naprawdę składało się kilka budynków oraz dziedziniec znajdujący się między nimi. Wszystko było brązowe. Mury, pojazdy, ziemia, nawet niebo zdawało się przybierać odcień tego koloru.

Świetnie. Burza piaskowa.

– Nie musisz się o mnie martwić. Nic mi nie dolega, gdy jesteście w garnizonie – powiedziałem.

– Och, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ty wyglądający jak Chris Pratt dupku. Ale człowieku – położył rękę na moim ramieniu, zatrzymując mnie, nim weszliśmy na dziedziniec, gdzie zebrała się reszta – nie jesteś z nikim związany.

– Ty też nie.

– Nie, obecnie nie jestem w związku, ale to nie oznacza, że nie jestem związany z osobami, na których mi zależy i którym zależy także na mnie.

Wiedziałem, do czego zmierza, ale nie były ku temu odpowiednie ani czas, ani miejsce. Zanim zaczął wnikać dalej, klepnąłem go w plecy.

– Słuchaj, możemy albo zadzwonić do Doktora Phila, albo wynieść się stąd, by uczestniczyć w kolejnej misji. – Przemieszczanie się od zawsze przychodziło mi z łatwością. Nie przywiązywałem się do niczego, bo nie chciałem. Po

prostu nie byłem do tego zdolny. Przywiązanie do ludzi, miejsc czy rzeczy było niewygodne – przeszkadzało – ponieważ istniała tylko jedna pewna rzecz, a była nią zmiana.

– Mówię poważnie. – Zmrużył oczy, co widziałem u niego zbyt wiele razy w ciągu naszej dziesięcioletniej przyjaźni.

– Tak, cóż, ja też. Nic mi nie jest. Poza tym jestem związany z tobą i Demolką. Wszyscy inni to tylko dodatek.

– Mac! Gentry! – zawołał Williams, stojąc w wejściu do północnego budynku. – Zbierajcie dupy!

– Idziemy! – odkrzyknąłem.

– Słuchaj, zanim tam wejdziemy, chcę, żebyś wiedział, że zostawiłem ci coś na łóżku. – Mac pogłaskał się po brodzie, co oznaczało, że się denerwował.

– Cokolwiek to jest, po tej rozmowie nie jestem zainteresowany.

Ruszyliśmy z Demolką w stronę miejsca odprawy. Nie mogłem się doczekać przemieszczenia, aby zostawić za sobą tę dziurę i zobaczyć, co czeka nas dalej.

– To list.

– Od kogo? Wszyscy, których znam, znajdują się w tamtej sali. – Przechodząc przez pusty dziedziniec, wskazałem na drzwi. Tak właśnie się działo, gdy państwo za młodu przerzucało cię z jednej rodziny zastępczej do drugiej, a kiedy dorosłeś, wstąpiłeś do wojska. Grupa ludzi, których uważałeś za godnych poznania mieściła się w blackhawku, a od dziś miało brakować nam Ramireza.

Jak mówiłem, przywiązanie stanowiło niepotrzebną komplikację.

– Od mojej siostry.

– Słucham? – Zamarłem z ręką na zardzewiałej klamce.

– Słyszałeś. Od mojej młodszej siostry Elli.

Pogrzebałem w zakamarkach pamięci. Ella – blondynka o zabójczym uśmiechu i łagodnych, dobrych oczach bardziej niebieskich niż jakiegokolwiek niebo, które widziałem. Od dekady wymachiwał mi przed nosem jej fotkami.

– No weź, Gentry. Potrzebujesz jej zdjęcia?

– Wiem, kim jest Ella, ale dlaczego na moim łóżku miałby znajdować się list od niej?

– Pomyślałem, że mógłbyś z nią pisać. – Zwiesił głowę i spojrział na swoje brudne buty.

– Pisać? Jakbym był jakimś projektem z piątej klasy twojej siostrzyczki?

Demolka się do mnie przysunęła i oparła o moją nogę. Dostrajała się do każdego mojego ruchu, nawet najmniejszych zmian w moim nastroju. To właśnie dzięki temu nasz zespół był tak dobry.

– Nie, to nie... – Pokręcił głową. – Chciałem tylko pomóc. Zapytała, czy znam kogoś, komu przydałyby się listy, a skoro ty nie masz rodziny...

Krzywiąc się, otworzyłem drzwi i zostawiłem go na zewnątrz. Może nieco piachu wpadnie mu do tej jego rozdziawionej gęby. Nienawidziłem słowa na „R”. Ludzie nieustannie narzekali na swoje rodziny, właściwie to cały czas, jednak w chwili, kiedy orientowali się, że ja nie miałem żadnej, traktowali mnie jak jakąś aberrację, jak problem, który należy rozwiązać, lub co gorsza, zaczynali się nade mną litować.

Tak bardzo nie życzyłem sobie tej ludzkiej litości, że to, aż niemal zabawne.

– Dobra, panowie – powiedział kapitan Donahue, gdy nasz dziesięcioosobowy oddział – cóż, teraz bez jednej osoby – zgromadził się przy stole. Przykro mi, ale nie wracamy do domu. Dostaliśmy nowe zadanie.

Wszyscy jęknęli – bez wątpienia tęskniąc za żonami i dziećmi – potwierdzając tym jedynie moje zdanie na temat przywiązania.



– Poważnie, Nowy? – warknąłem, gdy świeży członek naszego oddziału starał się posprzątać rzeczy, które strącił z szafki robiącej za mój stolik nocny.

– Przepraszam, Gentry – wymamrotał, składając papiery. Typowy amerykański chłopak zaraz po przeszkoleniu, który nie powinien jeszcze do nas trafić. Musiałby mieć kilka lat doświadczenia i pewniejsze ręce, co oznaczało, że znalazł się tutaj, bo był spokrewniony z kimś, kto zapewne pociągał za sznurki.

Demolka przechyliła łeb w jego stronę, po czym spojrzała na mnie.

– Jest nowy – powiedziałem łagodnie, drapiąc ją za uszami.

– Proszę – wybełkotał dzieciak, podając mi moje rzeczy, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, jakbym miał wykopać go z oddziału za tę jego niezdarność.

Boże, miałem nadzieję, że lepiej obchodził się z bronią niż z moim stolikiem nocnym.

Położyłem papiery na materacu, na wolnej przestrzeni, której nie zajmowała Demolka. Przejrzałem je, a były to artykuły z czasopism, które mnie zainteresowały i...

– Szlag.

List od Elli. Miałem go już niemal od dwóch tygodni i jeszcze go nie otworzyłem.

Jednak nie potrafiłem go wyrzucić.

– Otworzysz? – zapytał Mac z gównianym wyczuciem czasu.

– Dlaczego nigdy nie przeklinasz? – zapytał w tej samej chwili Nowy.

Sporunowałem Maca wzrokiem, wsunąłem list na sam spód stosu, nakryłem artykułem o nowatorskich technikach poszukiwawczych i ratunkowych.

– Dobra. Odpowiedz Nowemu. – Mac przewrócił oczami i położył się na swojej pryczy, zakładając ręce za głowę.

– Tak właściwie to nazywam się Johnson...

– Nie, Nowy. Jeszcze nie zasłużyłeś na nic innego – poprawił go Mac.

Dzieciak wyglądał, jakbyśmy skopali mu szczeniaka, więc odpuściłem.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że przeklinanie oznacza posiadanie ubożego zasobu słownictwa. Wyrażając się wulgarnie, wychodzimy na niewykształconych ludzi z niższej klasy społecznej. Zatem przestałem to robić. – Bóg jeden wiedział, że miałem za sobą sporo walki związanej z samym sobą, nie musiałem dodatkowo brzmieć jak środowisko, z którego się wywodziłem.

– Nigdy? – zapytał Nowy, pochylając się, jakbyśmy znajdowali się na piżama party.

– Robię to tylko w duchu – wyznałem, biorąc się za nowy artykuł.

– To naprawdę pies wojskowy? Wygląda tak... słodko – stwierdził Nowy, wyciągając rękę do Demolki.

Suczka uniosła głowę i obnażyła zęby.

– Tak, naprawdę, i tak, zabija na rozkaz, zatem wyświadczyć nam obu przysługę i nigdy więcej jej nie dotykaj. To nie jest kanapowa pupilka. – Pozwoliłem, aby powarczała chwilę dłużej, co miało służyć podkreśleniu moich racji.

– Spokojnie – powiedziałem jej w końcu i pogłaskałem ją po szyi. Napięcie natychmiast ją opuściło, ułożyła się na mojej nodze i patrzyła na mnie łagodnie, jakby nic się przed chwilą nie stało.

– Kurde – szepnął.

– Nie bierz tego do siebie, Nowy – rzucił Mac. – Demolka to fanka monogamii, a ty nie jesteś jej człowiekiem.

– Lojalna i zabójcza – powiedziałem z uśmiechem, nadal ją głaszcząc.

– Któregoś dnia – nakazał Mac, wskazując na list, który wysunął się ze stosu i leżał przy moim udzie na materacu.

– Nie dziś.

– Kiedy go otworzysz, będziesz mieć do siebie żal, że nie zrobiłeś tego wcześniej. – Sięgnął na drugą stronę pryczy, wziął pudełko z ciastkami z masłem orzechowym, po czym zjadł jedno z efektami dźwiękowymi godnymi filmów porno.

– Serio?

– Serio – mruknął. – Pychota.

Parsknąłem śmiechem i ponownie wsunąłem list do stosu innych papierów.

Dzieciak pokiwał głową.

– To wszystko czego od zawsze chciałem.

Wymieniliśmy z Makiem porozumiewawcze spojrzenia.

– Powtórz to jutrzejszego wieczoru. A teraz kładź się i przestań strącać moje rzeczy, inaczej twoja ksywka będzie brzmiała Masefko.

Wybałuszył oczy i grzecznie opadł na przyczę.



Trzy dni później Nowy już nie żył.

Johnson. Zasłużył, by zwracać się do niego po nazwisku, bo poświęcił się, ratując tyłek Doktorka.

Wszyscy spali, a ja leżałem, gapiąc się na jego pustą przyczę. Nie pasował do nas, wszyscy o tym wiedzieliśmy, nawet wyrażaliśmy swoje obawy. Nie był gotowy na misję, szybkie akcje naszego oddziału specjalnego i śmierć.

Nie żeby kostucha się tym przejmowała.

Klepsydra została odwrócona, miałem dwadzieścia osiem lat.

Wszystkiego najlepszego dla mnie.

Śmierć na misji zawsze dotykała mnie jakoś inaczej. Zwykle myślałem o niej na dwa sposoby – albo ją ignorowałem, bo musieliśmy działać, albo postrzegałem własną śmiertelność jako coś nagłego i namacalnego. Może to przez moje urodziny albo fakt, że Nowy był jeszcze dzieckiem, ale w tej chwili dopadły mnie rozterki.

Cześć, śmiertelność, to ja, Beckett Gentry.

Rozsądek podpowiadał, że po zakończeniu tej misji wrócimy do domu lub trafimy do kolejnej zapomnianej przez Boga dziury, ale w tej chwili dopadło mnie mocne poczucie samotności i chwyciło boleśnie za serce.

To nie jest przywiązanie – wmawiałem sobie, bo przywiązanie oznaczało kłopoty.

Jednak brakowało mi zażyłości z innym człowiekiem, takiej, która nie była zarezerwowana dla braci z oddziału ani nawet dla przyjaciela, jakim był Mac, osoby, która była dla mnie jak członek rodziny.

Pod wpływem czystego impulsu wziąłem latarkę, po czym wyjąłem list, który wcześniej wcisnąłem w górski przewodnik.

Przytrzymując latarkę ramieniem, rozerwałem kopertę i rozłożyłem kartkę ze schludnym kobiecym pismem.

Przeczytałem list raz, dwa razy... a nawet kilkanaście, dopasowując słowa do twarzy kobiety, którą od lat widywałem na zdjęciach. Wyobraziłem sobie, jak wczesnym rankiem poświęca chwilę, aby do mnie napisać i zacząłem się zastanawiać, jak wyglądał dla niej tamten dzień. Jaki facet może zostawić ciężarną żonę? *Dupek.*

Jaka kobieta oddaje się wychowaniu bliźniąt i prowadzeniu interesu, choć sama jest jeszcze małolatą? *Zapewne ta cholernie silna.*

Niezłomna, sprytna kobieta, którą musiałem poznać. Ogarnęła mnie niezaprzeczalna i cholernie uciążliwa tęsknota.

Zachowując jak największą ciszę, wziąłem notatnik i długopis.

Pół godziny później zakleiłem kopertę i postukałem nią Maca w ramię.

– Co jest? – warknął, obracając się do mnie.

– Chcę ciastka – wypowiedziałem z powagą, którą rezerwowałem zazwyczaj dla wydawanych Demolce komend.

Beckett,

*jeśli to czytasz, cóż... wiesz, jak to jest z listami
pożegnalnymi. Przeżyłeś. Ja nie. Jednak daj sobie
spokój z wyrzutami sumienia, bo wiem, że gdyby istniała
jakakolwiek szansa na to, abys mnie uratował, na pewno
byś to zrobił.*

*Chcę jednak, żebyś wyświadczył mi pewną przysługę –
porzuć wojsko i jedź do Telluride.*

*Moja młodsza siostra samotnie wychowuje bliźnięta. Jest
bardzo niezależna, niechętnie pozwala sobie pomagać,
jednak najpierw zmarli rodzice, potem nasza babcia,
a teraz Ella utraciła również mnie. Zbyt wiele nieszczęść,
jak na jedną osobę. To po prostu niesprawiedliwe.*

*I jeszcze jedno – nie wiesz o poważnym problemie, który
wyniszcza jej rodzinę. Ella będzie potrzebowała pomocy.*

*Jeżeli zginąłem, nie zdołam już jej wesprzeć. Nie podam
jej pomocnej dłoni, jednak Ty nadal możesz być przy niej
i jej dzieciach. Zatem błagam Cię, przyjacielu, zaopiekuj się
moją siostrą, moją rodziną.*

*Proszę, nie pozwól, aby samotnie musiała zmagać się ze
wszystkimi kłopotami.*

Ryan

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl

